


PATTI McCRACKEN



# WIOSKA WDÓW

Przełożyła Urszula Gardner

**SZOKUJĄCA HISTORIA MORDERCZYŃ  
Z WIOSKI NAGYRÉV**



PATTI McCracken

# WIOSKA WDÓW

SZOKUJĄCA HISTORIA MORDERCZYŃ  
Z WIOSKI NAGYRÉV

Przełożyła Urszula Gardner



TYTUŁ ORYGINAŁU:

*The Angel Makers.*

*Arsenic, a Midwife, and Modern History's Most Astonishing Murder Ring*

Redaktorka prowadząca: Marta Budnik

Wydawczyni: Agata Garbowska-Karolczuk

Redakcja: Adrian Kyć / Rytm pisania

Korekta: Martyna Tondera-Łepkowska

Projekt okładki: Łukasz Werpachowski

Zdjęcie na okładce: © Turaev / Stock.Adobe.com

DTP: MELES-DESIGN

Copyright © 2023 by Patricia Nell McCracken

Published by arrangement with HarperCollins Publishers. All rights reserved.

Copyright © 2023 for the Polish edition by Mova an imprint of Wydawnictwo KobiECE

Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Urszula Gardner, 2023

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone.

Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości

bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania

pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2023

ISBN 978-83-8321-191-6

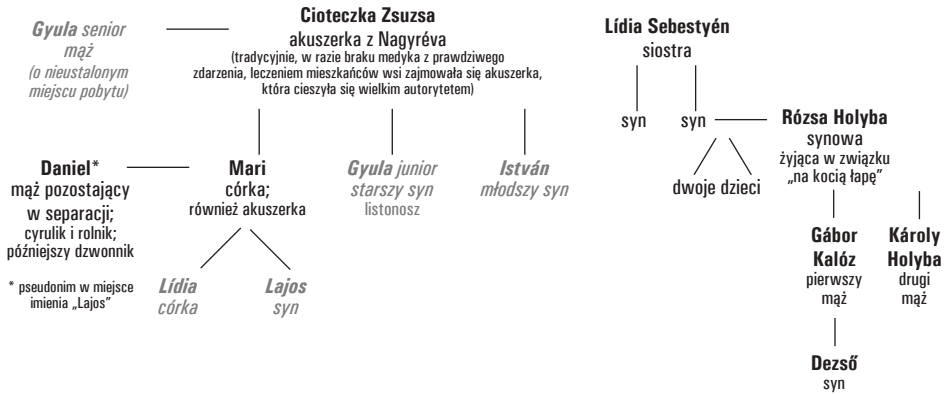
Grupa Wydawnictwo KobiECE | [www.WydawnictwoKobiECE.pl](http://www.WydawnictwoKobiECE.pl)



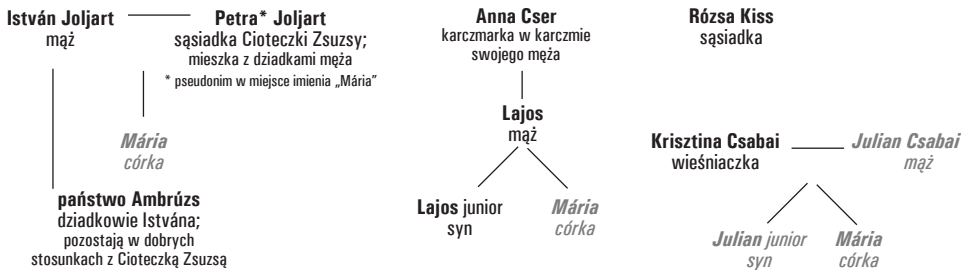
# SPIS POSTACI

Osoby zapisane kursywą i szarą czcionką nie występują w książce z imienia.

## RODZINA CIOTECZKI ZSUSZY



## MIESZKAŃCY WSI NAGYRÉV



**doktor Szegedy** miejscowy lekarz, rezyduje w Cibakházie, wizytuje wieś co wtorek, jeśli pogoda pozwala

**pan Ébner** miejscowy kancelista, jedyny urzędnik we wsi

**hrabia Molnár** były oficer armii, poborca podatkowy

## MIESZKAŃCY WSI TISZAKÜRT

**funkcjonariusz Bartók,** funkcjonariusz Fricsksa policjanci

**Krisztina Csordás** akuszerka kuzynka Cioteczki Zsuzsy

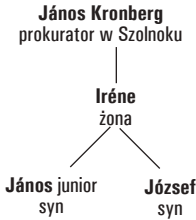
**Eszter Szabó** przyjaciółka Krisztiny

**państwo Madarász** sąsiedzi Eszter

**Antal Bartal** chórzysta, emerytowany nauczyciel

## RÓD KRONBERGÓW I ARYSTOKRACJA Z SZOLNOKU

---



**Barnabás Szabó**  
bliski przyjaciel Kronberga  
żurnalista

**Dandys**  
psi ulubieniec  
Kronberga

---

**Sándor Imre**  
sędzia

**Sándor Almásy**  
gubernator

*József Borsós*  
*prezes sądu*

**Gábor Kovács**  
adwokat

**doktor Henrik Orsós,**  
**doktor Izidor Kanitz,**  
**doktor Gábor Popp**  
medycy sądowi

### MacCORMACK & S-ka

---

**Mike Fodor**  
rodowity Węgier,  
żurnalista,  
bliski przyjaciel  
MacCormacka

**Jack MacCormac**  
reporter „New York Timesa”,  
szef wiedeńskiego biura

**Erzsébet de Pünkösti**  
niezależna dziennikarka „New York Timesa”  
działająca w Budapeszcie,  
siostra Mike'a Fodora

### RODZINA MÁRII

---

**Sándor Kovács senior**  
pierwszy mąż

———— **Mária Szendi Kardos**  
najlepsza przyjaciółka Cioteczki Zsuzsy,  
w młodości  
najładniejsza wieśniaczka, również najbogatsza

———— **László Mészáros**  
*drugi mąż*

**Károly Kovács**  
*syn*  
*zmarły*  
*w dziewiątym*  
*miesiącu życia*

**Sanyi Kovács**  
syn

———— **Mihály Kardos**  
trzeci mąż  
wdowiec, ziemianin,  
były sędzia gromadzki

**Franklin\* Todor**  
„adoptowany syn”,  
parobek i rzekomy  
kochanek Márii  
\* pseudonim w miejsce imienia „Steven”

**Marcella Todor**  
„adoptowana córka”,  
służąca

**„sędzia” Süle,**  
najlepszy przyjaciel Mihálya

Węgierska wieś Nagyrév leży w zakolu rzeki Cisy, w dolince o powierzchni jakichś trzydziestu pięciu kilometrów kwadratowych, gdzie wśród porośniętych zielenią ogrodów kryją się niskie białe chaty i skąd do najbliższej stacji kolejowej jest czterdzieści kilometrów.

W tenże sielski krajobraz **ściągają zewsząd, nierzadko z Budapesztu**, który usłyszał o istnieniu tej miejscowości z pewnym zdumieniem, liczni żurnaliści i wszelakiej maści śledczy zamierzający ustalić, co też może być przyczyną takiego, a nie innego stanu rzeczy. Wszyscy oni zastają na miejscu [wioskę] zamieszkaną przez ubogich rolników, których egzystencja zależy od gospodarstw i winnic już niesłychanie małych i jeszcze sukcesywnie malejących z każdym kolejnym pokoleniem, gdy przechodzą one z rąk ojców w ręce synów, albowiem Nagyrév otaczają niby ciasnym kordonem wielkie majątki, z których nie da się uszczknąć ni łana. Młodzi, w braku ziemi i perspektyw, zaczynają postrzegać swe potomstwo nie jako błogosławieństwo, lecz jako przekleństwo. [...] Azaliż upadek kultury okazuje się nader owocny dla niejakej [Cioteczki Zsuzsy].

O wsi [Nagyrév] z czasem dowiaduje się cały świat, choć owa popularność bynajmniej nie jest w smak Węgrom, którzy nagle zyskują złą prasę za granicą. Wszyscy w kraju są w szoku, że niecałe sto kilometrów od stolicy jest miejsce, które bardziej niż do współczesności pasuje do najciemniejszych wieków średnich.

Coś takiego jest wprost nie do wiary w 1930 roku.

– John „Jack” MacCormac,  
szef wiedeńskiego biura „New York Timesa”,  
marzec 1930 roku

CZĘŚĆ I

# MORDERSTWA (1916–1925)

## DWA GROBY I PANNA DO ZAMĘSCIA

*Wydaje się, że śmiałość i bezduszność, z jaką prowadziły swoje przestępcze działania, mogą się równać tylko niefrasobliwości mężczyzn będących ich ofiarami, mężów i ojców, którzy choć widzieli, jak jeden po drugim giną nagle w męczarniach ich przyjaciele, nawet nie podejrzewali, co stoi za tą tajemnicą, znaną dobrze niemal każdej kobiecie ze wsi [Nagyrev].*

– Jack MacCormac,  
„New York Times”

ŚRODA, 16 SIERPNI 1916 ROKU

Anna Cser leżała na podłodze głównej izby.

Plecy miała całe czerwone i swędzące. Wiele godzin temu zległa na jutowym worku, który rozłożyła dla niej akuszerka, i do tej pory jego luźne grube włókna zdążyły odcisnąć na jej skórze gryzący siateczkowy wzór. Na domiar złego włókna lnu czepiały się spoconego ciała, a w powietrzu wirował kurz, jakiego nie zdołała się pozbyć w czasie ostatnich porządków.

Brązowe włosy opadały jej w strąkach na twarz. Co rusz odgarniała kosmyki, lecz ona zaraz wracały na swoje miejsce, z czoła ściekały tłuste krople potu, wpadając kobiecie do oczu i spływając po policzkach niczym łzy.



Anna jęknęła. Ucapiała się worka i podciągnęła do kucek. Przeszywał ją ból. Usłyszała, jak wrzeszczy, a ponad jej głosem przebił się głos akuszerki, która wydawała chrapliwe instrukcje.

Za pomocą oddechu powoli, ostrożnie stąpiła ostrze targającego nią bólu i skupiła się na słowach akuszerki.

„Robiłam to już wcześniej – pomyślała Anna. – Dam więc radę ponownie”.

Wkrótce poczuła ręce akuszerki na brzuchu. Cioteczka Zsuzsa położyła na jej łonie ciepłą, mokrą szmatkę i właśnie lekko ją przycisnęła. Z kompresu rozszedł się delikatny zapach oliwy, jednego ze składników eliksiru używanego dla rozluźnienia mięśni.

Ból z wolna ustępował. Anna bez tchu położyła się z powrotem na worku. Uda drżały jej z wysiłku. Dłonie ją paliły tam, gdzie otarły je włókna juty.

Anna była chudziłą nawet jak na miejscowe standardy. Gdyby nie brakło jej urody, ludzie mówiliby o niej, że jest filigranowa, a tak każdy widział w niej tylko skórę i kości, i te kanciaste ruchy, kiedy szła przez świat jak niezdara.

Przez biegnące płytko cienkie, sine żyły jej przezroczysta cera przypominała witraż, gdyż nie było na niej ani grama tłuszczu. Ludzka szczapa – jeśli nie liczyć ogromnego ciężowego brzucha.

Cioteczka Zsuzsa towarzyszyła Annie przez prawie całe popołudnie. Krążyła wokół niej, stąpając ciężko bosymi stopami po chłodnym klepisku. Trzewiki zostawiła na ganku zaraz po tym, jak się pojawiła z mężem Anny, Lajosem, którego od tamtej pory więcej nie widziała. Z niepokojem zastanawiała się, dokąd mógł się udać.

Cioteczka Zsuzsa ubrana była jak zwykle – w czarną suknię z fartuchem na wierzchu. W jego kieszeniach trzymała

wszystko to, co niezbędne. W lewej miała fajkę z główką wydrążoną z kolby kukurydzy i kapciuch ze swoją ulubioną tabaką, razem z pudełkiem zapalek. W prawej szklaną fiolkę z roztworem własnej receptury, zamkniętą drewnianą zatyczką i zawiniętą w szary papier.

Ten swój roztwór uważała za jeden z największych cudów.

Pogmerawszy w kieszeni, wydobyła fajkę. Zapaliła ją i zaciągając się długo, z namysłem, rozważyła sytuację. Lajos nigdy zbyttnio się nie oddalał. Mógł być teraz w szopie albo w karczmie. Wypuściła z ust niewielki obłoczek białego dymu, który przez moment wisiał przed jej twarzą, zanim całkiem się rozwiął.

„Gdzie podziewa się Lajos? Oto jest pytanie!”, myślała.

Widok głównej izby przygnębiał Cioteczkę Zsuzsę. Było to małe pomieszczenie, a niskie tak, że mogłaby sięgnąć sufitu, gdyby wyciągnęła swoją pulchną rękę. Ściany świeciły pustkami, jeśli nie liczyć kilku świętych obrazków umieszczonych w skleconych domowym sumptem ramkach. Zwisaly krzywo z kołeczków, przymocowane za pomocą powrozika, który Anna zabrała z mężowskiej szopy.

„Nie zazdroszczę katolikom w naszej wsi – uznała akuszerka. – Są tu najbiedniejsi, bez piędzi ziemi, tak jak Anna”.

Poobijana komoda stała pod przeciwległą ścianą. Z jednego uchwytu zwisiała smętnie ścierka, o drugi zaczepiony był kalendarz, z tych rozdawanych za darmo przez radę wsi. Wszędzie wały się nieporządnie różne rzeczy. Stare drewniane wiadro, w którym Anna przynosiła świeżą wodę ze studni, zydelek, parę misek, w większości wyszczerbionych, lampa naftowa, która niemal nigdy się nie paliła, bo nie było do niej nafty. Oprócz komody i stołu z mebli była jeszcze tylko jedna drewniana ława do siedzenia – i to wszystko. Na noc Anna rozkładała na ziemi słomiane maty i spała na nich razem z dziećmi.

Czasem zlegał z nimi Lajos, przybyły prosto z karczmy, i napętniał izbę głośnym chrapaniem.

Z kątów wyzierała przeraźliwa bieda i wrażenia tego bynajmniej nie zmniejszała żalosna mieszanina zużytych do cna niezbędnych sprzętów i nielicznych pamiątek niespełnionego życia. Cioteczka Zsuzsa poczuła się oszukana.

„Wszystko tutaj wzięte do kupy ma taką samą wartość jak śmieci zmiecione ze ścieżki przed moim domem”.

Ta myśl nieco ją zdenerwowała, gdyż przywiodła jej na pamięć dawne czasy, czasy własnej biedy i niedostatku, do których nie lubiła wracać.

Drzwi wejściowe prowadziły bezpośrednio do kuchni, drugiej i ostatniej izby w domu. Nigdy ich nie zamykano. We wsi nikt nie używał kluczy ani zasuw. Zazwyczaj nie przeszkadzało to Cioteczce Zsuzsie, ale tego dnia było inaczej.

Obrzuciła drzwi bacnym spojrzeniem. Były poznaczone rysami i głębokimi bruzdami – na jej oko wyglądały, jakby uratowano je z jakiejś ruiny. Trzymały się w futrynie na słowo honoru, a pomiędzy deskami, z których je zbito, widniały nierówne szczeliny przepuszczające światło.

Przez całe popołudnie Cioteczka Zsuzsa wędrowała od drzwi do okna, z którego rozciągał się widok na zbieraninę bielonych chałup. Rozrzucone przypadkowo jak kijki w lesie, wszystkie ciasne, w porywach czteroizbowe, na ogół składały się tylko z dwu izb i stały zwarto upakowane wzdłuż wąskich uliczek. Wieś z lotu ptaka musiała przypominać talerz makaronu ze skwarkami – poszczególne nitki odzwierciedlały drogi i dróżki usłane takimi właśnie chatami. Akuszerka pomyślała, że prawdę mówi stare węgierskie przysłowie: wieśniak buduje swój dom tam, gdzie upadnie cegła z wozu, na którym jedzie.

Cioteczka Zsuzsa ponownie zaciągnęła się dymem z fajki, nie przestając wyglądać przez okno. Patrzyła na córeczkę

Anny, która bawiła się lalką zrobioną przez matkę z kukurydzianych łupin i sznurka. Dziewczynka zwykle przesiadywała na skrawku trawy przed domem, nieopodal rowu, tego dnia jednak trzymała się tylnego podwórka, gdzie klapnęła na ziemi pośród kur.

Akuszerka dostrzegła także starszego syna Anny, który to pojawiał się na podwórku, to znów znikał. Wcześniej wybrał się za furtkę z długim, grubym kijkiem i drewnianym wiaderkiem. Chłopiec miał już sześć i pół roku i większość lata spędził nad rzeką, łowiąc ryby na prowizoryczną wędkę z kołowrotkiem, ale teraz kręcił się koło domu, ponieważ miał za zadanie pilnować siostry.

Zza ściany dochodziły odgłosy ław szurających po podłodze. Karczma przylegała do domu Cserów doczepiona na podobieństwo trzeciej ręki i Cioteczka Zsuzsa mogła teraz słuchać, jak dodatkowa izba wypełnia się popołudniowymi gośćmi.

Z zamyślenia wyrwał akuszerkę dopiero głośny hałas. Odwróciła się, żeby spojrzeć na drzwi, i zobaczyła, że ktoś szarpie za klamkę.

Nie było sposobu na ich zabarykadowanie. Ława okazała się za niska, a w całym domu nie znalazło się nic innego, czym dałoby się je zablokować. Główna izba stała się pułapką.

Doszło do tego, czego Cioteczka Zsuzsa obawiała się przez cały dzień.

Drzwi otworzyły się na oścież, wyrznęły z hukiem o ścianę i aż się odbiły.

Światło słoneczne załało wnętrze. W pierwszej chwili akuszerka widziała tylko zwalistą sylwetkę obramowaną futryną, ale po samym zapachu bez trudu poznała, że wrócił pan domu. Lajos cuchnął gorzałą i uryną, roztaczał zastałą woń tytoniu, która wzięła się w jego ubranie, tak samo zresztą jak odór nieumytego ciała, co łączyło się w odrażający fetor.

Upstrzony kroplami potu mężczyzna był równie brudny jak uganiające się po wsi kundły i niemal równie jak one zaszony. Cotygodniowa kąpiel w balii na podwórzu niewiele dawała, ponieważ Lajos nie miał dość cierpliwości, by chociaż raz namydlić się porządnie. Brud i łój pokryły jego ciało grubą warstwą, wnikając we wszystkie zakamarki, gdzie schronienie znajdowały krwiożercze insekty.

Obecnie mąż Anny był nawet bardziej pijany niż rano, kiedy się obudził. Większość wieśniaków lubiła strzelić sobie kielicha po śniadaniu, najpóźniej po obiedzie, ale wszem wobec było wiadomo, że Lajos przypina się do butelki, zanim zaświeci słońce. Najczęściej sięgano tu po miejscową gorzałę, mieszankę pędzoną ze sfermentowanych śliwek i buraków (oraz czasami moreli i nadgniłych pyr), a gdy jej brakowało, zawsze pod ręką było wino.

Po wejściu do środka Lajos rzucił się w stronę żony. Nogi go nie słuchały, sztywne i ciężkie jak dębowe kłody, tak że przebiegał nimi z najwyższym trudem. Każdy niezdarowy, ogłuszający krok tylko zwiększał wściekłość gospodarza, zatem gdy wreszcie stanął jedną stopą na jutowym worku, aż gotował się z gniewu. Nachylił się ku Annie, balansując ramionami dla zachowania równowagi, i chuchnął jej prosto w twarz wyziewami przetrzawionego alkoholu i gnijących zębów.

– Głupia baba! – krzyknął, popatrując na nią dziko.

Wydał wargi i na moment przybrał wyraz skupienia, które było mu potrzebne, aby zgromadzić w zaschniętych ustach wystarczającą ilość śliny, po czym odchylił głowę do tyłu i splunął na żonę.

– Gdybyś była mądrzejsza, tobyś nie chodziła z brzuchem rok w rok!

Anna trzymała oczy zamknięte, odkąd jej mąż wpadł do izby. Teraz zacisnęła powieki jeszcze mocniej. Ostre włókna

worka raniły wewnątrz jej dłoni, kiedy je zaciskała. Skurcz, który właśnie ją dopadł, osłabł i zalał jej ciało falą mdłości, nie odważyła się jednak zaczerpnąć głębiej tchu.

Lajos cofnął nogę, przymierzając się do kopniaka, przez co znowu musiał zamachać rękami, lecz tym razem nic to nie dało. Załopotał ramionami jak wiatrak, zachybotał się jak wańka-wstańka i w końcu poleciał do tyłu, zupełnie jakby zaatakował go niewidzialny napastnik.

Akuszerka wykorzystała okazję. Zadudniła bosymi stopami o klepisko, furkocząc przy tym suknią, i rozczapierzywszy obie dłonie, pożegnała się z fajką, ale sięgnęła ku Lajosowi z całym impetem swego przysadzistego ciała. Gdy poczuła pod palcami obrzydliwie sztywny materiał przodu jego koszuli, trąciła Lajosa ze wszystkich sił. Starsza kobieta nie była godnym przeciwnikiem dla kogoś o jego gabarytach, a mimo to poddał się jej sile. Ze stęknieniem przepchnęła go przez całą izbę, aż za próg kuchni, gdzie poleciał na plecy, z rumorem przesuwając po drodze stół.

Akuszerka zatrzasnęła dzielące ich drzwi i zasłoniła je własnym ciałem w zastępstwie barykady, o której marzyła zaledwie przed paroma chwilami.

Wcześniej tego samego dnia, gdy Lajos nie był jeszcze tak pijany, zdołał ją sprowadzić, żeby przyjęła na świat jego dziecko. Cioteczka Zsuzsa nie mieszkała daleko od Cserów, ot, pod numerem pierwszym przy ulicy Árva.

Jej dom był jednym z najładniejszych we wsi. Usytuowany na okazałej działce, mógł się pochwalić pięknym ogrodem, którego strzegł wysoki drewniany płot. Od wiosny do jesieni Cioteczka Zsuzsa pielęgnowała w nim całą gamę kwiatów pokrywających teren wokół domu zwartym kobiercem.

Urządzone na zewnątrz palenisko, w którym bez względu na pogodę podtrzymywała ogień od rana do wieczora, nocami

służyło za ulubione miejsce do spania jej starego psiego ulubieńca.

Mieszkała w Nagyrévie od ponad piętnastu lat, odkąd zaczęła oficjalnie pełnić funkcję miejscowej akuszerki. Dostała wtedy dom od rady wsi i mogła również liczyć na okrągłą pensję, co bynajmniej jej nie przeszkadzało w pobieraniu opłat od pacjentek. Starszyzna wymagała, by najuboższych pielęgnowała za darmo, lecz Cioteczka Zsuzsa potrafiła zadbać o to, aby nigdy nie wracać do domu z pustymi rękami.

Obowiązki miała rozległe, tak że właściwie uważano ją we wsi za medyka. Prawdziwy lekarz mieszkał w Cibakházie, niby tylko osiem kilometrów od Nagyréva, ale podróż z jednej miejscowości do drugiej zajmowała dobre półtorej godziny po wyboistych i poznaczonych koleinami polnych drogach. Doktor Szegedy miał w Nagyrévie izbę, w której przyjmował w każdy wtorek, pod warunkiem że drogi pozwoliły mu na przyjazd, to znaczy ani nie rozmokły, ani nie zamrzły, co niestety w tej okolicy było normą przez niemal pół roku.

W efekcie wieśniacy musieli na co dzień polegać na Cioteczce Zsuzsie, która swoje szklane fiołki wypełnione roztworem trzymała w spiżarni przy kuchni, choć nie było to jedyne miejsce ich przechowywania. Znacznie większy zapas ukrywała gdzie indziej.

Warzyła swój eliksir regularnie. Wpierw nalewała do ceramicznego garneczka kwartę octu destylowanego i podgrzewała go albo na piecu w izbie, albo na otwartym palenisku. Pilnowała przy tym, by ogień nie buchał zbyt mocno, a gdy ocet był już wystarczająco ciepły, dorzucała do niego kilka sześciokątnych arkuszy lepu na muchy, w który zaopatrywała się hurtowo w składzie Feldmayra przy ulicy Árpád. Sklep mieścił się nieopodal karczmy Cserów.

Ocet parował wolno. Proces trwał godzinami i dłużył się niechętnie, ale gdy dobiegał końca, na dnie garneczka znajdował

się arsenik w stanie płynnym. Akuszerka przelewała go ostrożnie do fiolek. Ciecz miała mleczny kolor, który zawdzięczała dodatkowi kleju w lepie. Sama trucizna była jednak bezbarwna, bezwonna i praktycznie niewykrywalna. Cioteczka Zsuzsa lubiła powtarzać, że *nawet stu dochtorów nie wykryłoby* obecności jej zabójczego eliksiru w zwłokach tych wieśniaków, którzy padli jej ofiarą.

Anna znowu podciągnęła się do kucek. Kolana ledwie utrzymały jej ciężar, a patykowate łydki i uda zdrząły z wysiłku. Strumyczek potu mknął po jej plecach, drugi torował sobie drogę między jej małymi piersiami.

Choć minęła ponad godzina, odkąd Lajos wparował do izby, w powietrzu nadal unosił się zapach uryny i jego nieświeżego oddechu. Anna zaczęła się rozluźniać dopiero wtedy, gdy nieprzyjemna woń niemal całkiem się rozviała.

Nadszedł kolejny skurcz. Położnica nabrała tchu i spięła się w sobie. Obnażyła zęby, zaciskając przy tym szczęki tak mocno, że poczuła rozdzierający ból w zuchwie. Pod powiekami paliły ją łzy. Wydała z siebie donośny, przeciągły jęk, który przetoczył się przez nią niczym głąz po zboczu góry. W jej uszach zabrzmiał potwornie.

Cioteczka Zsuzsa klęczała naprzeciwko niej. Zakasała suknię i opadła gołymi kolanami na klepisko. Obie ręce położyła płasko na ziemi, dając się przeniknąć chładowi bijącemu od fundamentów. Dzień zdążył przejść w zmierzch i w izbie zrobiło się jeszcze mroczniej, przyciągnęła więc do siebie zapaloną lampę. Pochyliwszy nisko głowę, sięgnęła po lusterko i wsunęła je pod Annę. Odbicie pokazało ciemną rodzącą się dziecko, okraszone wilgotnymi kosmykami brązowych kręconych włosów. Widać było, że na krocze od wewnątrz napiera jedno z ramionek.



Akuszerka wiedziała, że to już nie potrwa długo.

Anna wzięła głęboki oddech i z głośnym stęknieniem jęła znów przeć. Cioteczka Zsuzsa obserwowała w lusterku, jak ciemię najpierw się cofa, a później pokazuje się ponownie, tym razem odsłaniając skronie.

Kolejne stęknięcie, dalsze parcie i główka wyłoniła się całkowicie. Mokra czupryna sięgała dziecięcych uszu.

Główka przekrzywiła się w lewo, pociągając za sobą resztę wątego ciała i zmieniając jego pozycję na dogodniejszą.

Anna nie przestawała przeć, dzięki czemu wkrótce na zewnątrz pojawiły się oba ramiona. Akuszerka pochylała się jeszcze niżej, wyciągnęła przed siebie złożone dłonie.

Położnica w tym czasie zrobiła sobie przerwę. Dysząc, łykała powietrze otwartymi szeroko ustami, jakby to była woda. W końcu wrzasnęła i napiąwszy wszystkie mięśnie, wycisnęła z siebie resztę dziecięcego ciała, które śliskie niczym wąż świeżo po wylince wpadło w sprawne ręce Cioteczki Zsuzsy. W ciasnej izbie rozszedł się pizmowy zapach noworodka.

Podtrzymując go, akuszerka równocześnie masowała mu brzuszki i plecki, skłaniając do zaczerpnięcia pierwszego oddechu. Wreszcie zakwilił, wciągając w płuca wiejskie powietrze.

Gdy dziewczynka trafiła na zapadnięty teraz brzuch Anny, intuicyjnie zaczęła się wić w stronę matczynej piersi. Otworzyła różane usteczka i ułożywszy wargi w małą literę O, na oślepek szukała sutka. Anna przygarnęła do siebie niemowlę, które ucapiło brodawkę i jęło ssać z zapałem, aż mu się zapadły oba policzki. Mleko jednak nie popłynęło i nie chciało płynąć bez względu na to, jak usilnie dziewczynka cmoktała. W końcu na małej twarzyczce pojawił się grymas, czoło przecięły zmarszczki świadczące o determinacji. Gdy stało się jasne, że mleka nie ma i nie będzie, że pierś matki jest sucha

jak wiór, noworodek wypuścił z ust sutek i rozkrzyczał się z głodu i pogardy.

Nie był to pierwszy raz, kiedy Anna zawiodła jedno ze swoich dzieci. Gdyby mieszkała w Szolnoku, mogłaby skorzystać z darmowej mamki, w Nagyrévie jednak nie prowadzono podobnego programu dla matek. Przez dziewięć miesięcy Anna się modliła, aby tym razem było inaczej. Obserwowała swoje piersi i czekała, aż nabrzmięją mlekiem. Gdy tak się nie stało, ogarnął ją strach. Spoglądała na córeczkę, która z buzią czerwoną jak wiśnia trzęsła się cała z gniewu.

Rozległy się obojętne, oczywiste słowa akuszerki:

– *Chcecie, żebym coś z nią zrobiła?*

Ulica Árva biegła pod lasem, gdzie nocami dało się słyszeć wycie szakali i gdzie czasami słowiki uprawiały gody tak głośno, że ich śpiew niósł się hen uliczkami Nagyréva. Tej nocy w powietrzu czuło się zbawczy powiew. Stojący niemal w pełni księżyc oświetlał drogę przed Petrą Joljart.

Otoczona przez migotliwy rój robaczków świętojańskich, minęła właśnie furtkę i przekroczyła rów, zadzierając długą suknię. Potem się zatrzymała. Nawet będąc w tej odległości od domu, słyszała swojego męża. Obróciła się, by ponad rowem domknąć furtkę, po czym ruszyła na przełaj przez niechlujną trawę i po chwili zniknęła za ogrodzeniem sąsiedniego domu Cioteczki Zsuzsy.

Widząc, że wewnątrz pali się światło, ruszyła schludną ścieżką wiodącą do drzwi, przystając tylko na moment obok paleniska, na którym spał pies. Znalazłszy się na ganku, zastukała do okna. Nie była w stanie zajrzeć do środka, ponieważ akuszerka zawsze trzymała zasłony zaciągnięte.



# HISTORIE WARTE OPowiedzenia



#MOVAODOBRYCHKSIĄŻKACH



[www.mova.com.pl](http://www.mova.com.pl)



[wydawnictwo.mova](https://www.facebook.com/wydawnictwo.mova)



[wydawnictwomova](https://www.instagram.com/wydawnictwomova)



Zajrzyj i bądź na bieżąco!